

## Wróż (1/2) — Jack the Nipper

Początek tegorocznego lata nie zapowiadał się zbyt ciekawie. Siedziałem jak zwykle w mojej pracowni, czekając na klientów, ale ostatnio ruch był bardzo niewielki, zupełnie jakby ludzie przestali interesować się przyszłością. Coraz rzadziej ktoś przychodził, by prosić o wytłumaczenie snu, objaśnienie symboli, sporządzenie horoskopu czy postawienie wróżby z kart. Nie pojawiali się także zrozpaczeni rodzice poszukujący pomocy u jasnowidza w sprawie zaginionych dzieci, żony nie szukały swych mężów, a mężowie żon, jak gdyby nagle skończyły się ucieczki z domów, porwania i nieszczęśliwe wypadki. Oczywiście, brak ruchu w interesie mógł być spowodowany niecnymi praktykami konkurencji, która czasami rozpuszczała plotki, że ten wróż czy tamta wróżka to oszustka lub hochsztapler. Ponieważ jednak wszyscy w tej branży ściemnialiśmy ludziom tak samo i czasami oskarżaliśmy się wzajemnie o kłamstwa, to bilans wychodził na zero. Być może, na skutek kryzysu, ludzie nie mieli pieniędzy na takie bzdury, niemniej jednak zastój w interesach był niepokojący.

Znudzony bezczynnością zabrałem się za przygotowanie nowego szyldu, który zamierzałem wywiesić nad pracownią. Chciałem poszerzyć ofertę i jasno obwieścić światu, że nie jestem jedynie wróżem, ale sprawdzać się mogę w wielu dziedzinach. W końcu uważałem się za człowieka renesansu. Od czasów szkolnych przyswiewało mi motto: "Nade mną przestrzeń, przede mną obszar, po bokach odległość, a za mną... za mną pójda inni". I tak prowadziłem owych innych przez osiem lat zawodowego wróżenia, aż wreszcie nadeszło cholerne lato 2010 i nie było co robić. Postanowiłem więc spróbować nowych zajęć i na przygotowanym szyldzie napisałem:

### WOJTEK SALOMON

wróż, jasnowidz, chiromanta, trubadur,  
cyrulik, golibroda, balwierz, żongler,  
sztukmistrz, rybałt, rataj folwarczny oraz katecheta

Pracownia czynna:

Pon. - Pt. - 12:28 - 19:37

Sobota - 9:11 - 13:43

Celowo wpisałem nierówne godziny, by przyciągały uwagę. Nie spodziewałem się, że już następnego dnia przybędzie długo wyczekiwany klient, a za nim kolejni i kolejni, aż nudne lato zamieni się w najbardziej niezwykły okres mojego dotychczasowego życia.

Pamiętnej środy, 7 lipca, równo w południe przyszedłem do mojej pracowni, znajdującej się w oficynie kamienicy stojącej przy głównej ulicy miasta. Minąłem swój nowy szyld, zawieszony przy wejściu do bramy. Przyjemny chłód uderzył spocone czoło. Skierowawszy się ku drzwiom, zacząłem jednocześnie szukać kluczy od zamka wejściowego. Wtedy zaskoczony zauważyłem, że przed pracownią stoi młoda, elegancko ubrana kobieta. Mimo upału miała na sobie brązową garsonkę w delikatne wzory, czarne buty na wysokim obcasie, a na głowie słomkowy kapelusz ozdobiony zieleniną. W pierwszym momencie pomyślałem, że przyklepił się jej jakiś liść, jednak po chwili obserwacji okazał się to być koper włoski.

- Pani do mnie? – zapytałem.

- Tak. Czekam na pana już dłuższą chwilę. To sprawa niecierpiąca zwłoki, potrzebuję natychmiastowej porady...
- Zapraszam więc - zamaszystym gestem otworzyłem drzwi, wpuszczając damę do środka. Kobieta rozsiadła się wygodnie w starym fotelu przeznaczonym dla gości i spojrzała na mnie krytycznie.
- Pan się dobrze zna na swoim fachu?
- Proszę pani! Jestem w tej branży już wiele lat, a skuteczność moich wróżb, widzeń i przepowiedni sięga blisko 80%! To znacznie powyżej średniej - łąłem jak z nut.
- Niech będzie - posłała mi zalotny uśmiech. - Pan mi się podoba.
- Dziękuję... - Chciałem zrewanżować się komplementem, ale dama przerwała mi bezceremonialnie.
- Nie przyszedłem tu flirtować. Mam poważny problem. A dokładniej, to moja kuzynka ma. Cała jej rodzina, cztery osoby, nie żyją. Policja twierdzi, że się zatruli. Nie wierzę w to. Pan mi powie prawdę, bo ja swoje wiem. To morderstwo z premedytacją.
- Jeśli tylko będę miał odpowiednie dane, z pewnością udzielę pani odpowiedzi - przytaknąłem skwapliwie. Takich klientów lubiłem najbardziej. Wystarczyło potwierdzić ich spiskowe teorie, a wychodzili z pracowni zachwyceni i polecali moje usługi znajomym, równie naiwnym i łatwowiernym. - Proszę mi opowiedzieć wszystko od początku.

Wyjąłem notatnik, by zapisywać ważniejsze punkty opowieści klientki.

- To, co powiem, wiem od Violi Bilskiej, tej mojej kuzynki. Jest skrajnie załamana, ale też nie wierzy w policyjną wersję. Sprawa wyglądała tak. Viola jechała pociągiem, zasnęła i wtedy morderca skradł jej telefon.
- Morderca... - powtórzyłem, zapisując słowo w notesie.
- No mówię. Proszę pisać ciszej! Skradł jej telefon w pociągu. Viola to zauważyła w domu. Zaraz zabrała Czukowi jego komórkę i zadzwoniła na swój numer.
- Czukowi... - zanotowałem.
- Czuk to jej zamordowany brat. Pan nie przerywa! Wzięła komórkę, zadzwoniła z pretensjami, a ten morderca zaczął przeproszać. Że nie chciał, że to jego praca, że jakby wiedział, że Viola taka fajna dziewczyna, to by nie ukradł. Ale już skasował wszystkie dane z telefonu, jednak będzie jej odsyłał esemesy, co na ten numer przyjdą. No, zbajerował dziewczynę. A parę dni później zamiast odesłać jej telefon, to wie pan, co przysłał pocztą?
- Kartkę z przeprosinami - starałem się, by w moim głosie nie dało się wyczuć pytania. Oczywiście, nie miałem pojęcia, co przysłał złodziej, ale kartka była tym, co ja sam bym przysłał, bo mam alergię na kwiaty.

Dama spojrzała na mnie z szacunkiem.

- O! Z pana to jednak prawdziwy fachowiec. Tak jest! Przysłał pocztówkę, przedstawiającą wesołego Mikołaja z workiem prezentów, brnącego przez śnieżne zasy do majaczącego w oddali domku. Życzenia "Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku" były pięknie wykaligrafowane srebrnymi zgłoskami. Na odwrocie, zamiast kolejnych życzeń, znajdowało się tylko jedno słowo "Przepraszam". Pod spodem była zgrabnie odmalowana dłoń z palcami ułożonymi w geście V. Viola, głupia, nie zrozumiała, że to od tego bandyty. I zamiast wyrzucić plugastwo, zniosła je do domu, a przy obiedzie pokazała rodzinie pytając, co to może znaczyć. Oni zaś, gdy zobaczyli tę kartkę, to takie miny mieli, jakby ducha ujrzeli. Unikali się wzajemnie wzrokiem, a atmosfera stała się bardzo przygnębiająca. Viola nie zwróciła jednak na to większej uwagi, musiała biec do pracy. I wie pan co dalej?
- Wiem, ale proszę mówić.
- Przepraszam, przecież pan jest jasnowidzem, a ja jak idiotka pytam. Więc poszła do pracy, a rodzina została przy stole. Te durnie z policji mówią, że się zatruli deserem, tylko Viola go nie jadła. Podobno

był w nim jakiś narkotyk i stracili nad sobą kontrolę. Zwariowali i popełnili samobójstwa.

- Samobójstwa? - wyrwałem się zaskoczony, zapominając o zgrywaniu wszechwiedzącego. Chcąc zatuszować złe wrażenie, zacząłem coś intensywnie zapisywać w kajecie.

- A, więc i pan w to nie wierzy. Pan to jest jednak prawdziwy jasnowidz - w głosie mojego gościa wyczuwałem już uwielbienie. - Oczywiście, że to nie były samobójstwa! Czuk poszedł do pracy, był operatorem wózka widłowego w hurtowni armatury łazienkowej. Podobno sam sobie zrzucił na głowę tonę kafelków. Wgniotło go w podłogę na pół metra. Przecież to absurd. Nikt tak nie popełnia samobójstwa.

- Tak. To niedorzeczne.

- Dokładnie! Ale niech pan dalej posłucha. - Dama poprawiła się na fotelu, zakładając nogę na nogę. Bardzo zgrabną nogę, trzeba przyznać. - Jolunia Bilaska, mama Violki, poszła do kuchni, niby pozmywać naczynia. Ale zamiast zmywać, to wzięła nóż do obierania kartofli, podcięła sobie żyły, a potem jeszcze oblała się płynem do rozpalania grilla i podpaliła. W tym samym czasie Hek, młodszy brat Violki, grafik komputerowy zresztą, złapał telewizor i wyskoczył z nim przez balkon. Z szóstego piętra. A jak leciał, to wrzeszczał: "Rureeeeczkaaaa"!

Kobieta wydarła się, chcąc wiernie oddać zachowanie samobójcy. Podskoczyłem na krzesło, upuszczając trzymany w ręku długopis. Nieco zakłopotany schyliłem się, by podnieść go z podłogi i ze zdumieniem zobaczyłem, że mój gość pozbył się butów. Nie dając nic po sobie poznać, wróciłem do biurka, a zapisawszy imię oraz zawód Heka, powiedziałem sucho:

- Proszę kontynuować.

- Hek spadł i zginął na miejscu. Jolunia w tym czasie dopalała się w kuchni, dobrze, że pożaru z tego nie było, ale sąsiedzi w porę interweniowali. Natomiast Andrzej Bilski, ojciec Violki, zaraz po obiedzie poleciał do pracy. Pracował jako kierowca autobusu. Ale zamiast wyruszyć normalnie na trasę, to pojechał na odludzie, na takie wzniesienie za miastem. Tam wysiadł, zwolnił hamulec, poczekał, aż autobus zacznie się toczyć i się pod niego rzucił. Głową pod koła, aż mu mózg uszami wyszedł. Uwierzy pan?

- Taki splot okoliczności nie jest przypadkowy - mruknąłem, ale bardziej niż opowieść interesowała mnie lewa dłoń mojego gościa, wędrująca tymczasem po jego szyi i dekolcie.

- A widzi pan! Violka po wszystkim w psychiatryku wylądowała. A policja mówi, że to narkotyk, że Czuk handlował jakimś świństwem, które przypadkowo dostało się do budynku i w połączeniu z glutaminianem sodu... Słucha mnie pan?!

Prawdę powiedziawszy - nie słuchałem. Moje myśli błądziły bowiem wokół kształtnych piersi klientki.

- Naturalnie - powiedziałem, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco.

- Widzę, że najbardziej interesują pana moje cycki! W porządku, proszę! - Dama rejtanowskim gestem rozchyliła jednocześnie poły garsonki i bluzki, którą miała pod spodem. Ku memu największemu rozczarowaniu zobaczyłem nie dwie dorodne, jędrne piersi zakończone małymi różowymi sutkami, ale paskudne, silikonowe implanty, na powierzchni których rozlewały się ogromne, zgnióbrazowe brodawki. Wszelka ochota na miłosne uniesienia natychmiast mi przeszła.

- Szanowna pani pozwoli, że wrócimy do sprawy. Idealnie byłoby, gdyby przekazała mi pani ową kartkę pocztową, która – jak podejrzewam - jest przyczyną wszystkich opisanych nieszczęść.

Jak ja mogłem brać ją za damę? To niezrównoważona psychicznie ekshibicjonistka. Ale to nawet lepiej. Będzie łatwiejszą ofiarą moich bajerów. Kobieta poprawiła bluzkę i garsonkę. Nie przestając uśmiechać się ironicznie, sięgnęła do torebki.

- Proszę. Wiedziałam, że to będzie panu potrzebne. Policja nawet nie chciała na nią spojrzeć. A to przecież od niej się wszystko zaczęło, od znaku "V". V jak vendetta!

- Bardzo możliwe. To szczególnie cenny przedmiot - zacząłem swoją gadkę - dotykali go wszyscy członkowie rodziny pani kuzynki. On powie mi najwięcej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Jack the Nipper, dodano 04.07.2011 07:46

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).